

## **Jan Maciejewski: Rewolucyjna mistyka krwi. Jaruzelski i Robespierrem, Leder i Rymkiewicz – sojusznikami**

Spór historyków o to, czy gdyby nie wprowadzenie stanu wojennego Rosjanie weszliby do Polski, jak zrobili to ćwierć wieku wcześniej na Węgrzech, dotyka sprawy dużo ważniejszej niż kwestia odpowiedzialności generała Jaruzelskiego. To pytanie o status tamtego terroru. O jego wyjątkowość, całkowitą osobność na przestrzeni polskiej historii – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Grudzień '81. Wygaszanie Sierpnia”.

Co łączy ze sobą czternastego lipca z trzynastym grudnia? Pierwszego dnia jest przecież prawie zawsze ciepło, drugiego – bez wyjątku zimno i nieprzyjemnie. Zburzenia Bastylii jest dla Francuzów powodem do świętowania, wprowadzenie stanu wojennego przypomina Polakom jedną z największych traum ostatnich dekad. W lipcu wybuchają fajerwerki i łopoczą trójkolorowe flagi, w grudniu – zapalane są znicze i snują się kombatanckie opowieści. Wszystko jest inne, poza jednym – dla obu wspólnot politycznych rocznice te oznaczają wspomnienie odgórnego, państwowego terroru. Przemocy, jaką ich rząd zastosował wobec nich samych.

Nie ma w polskiej historii wydarzenia równie spokrewnionego z rewolucyjnym, francuskim terrorem co właśnie stan wojenny. Jeśli ktoś w tych dwóch ostatnich wiekach terroryzował Polaków, był to zawsze

inny. Ktoś, kto wyraża się innymi słowami, przeczytał inne książki, wzruszał się na innych filmach, tęskni do zupełnie nie tych samych miejsc. Ten obcy. Teraz rozkazy wydawane były w tym samym języku, w którym rozbrzmiewały jęki bitych i aresztowanych. Właśnie dlatego, choć okres stalinowski był dużo bardziej krwawy, to właśnie długie grudniowe noce 1981 roku zapisały się mocniej w polskiej wyobraźni. Tam także były i mordowały polskie ręce, ale przywiązane do czerwonych nici, za które pociągano w Moskwie.

*Nie ma w polskiej historii  
wydarzenia równie  
spokrewnionego z  
rewolucyjnym, francuskim  
terrorem co właśnie stan  
wojenny*

Spór historyków o to, czy gdyby nie wprowadzenie stanu wojennego Rosjanie weszliby do Polski, jak zrobili to ćwierć wieku wcześniej na Węgrzech, dotyka sprawy dużo

ważniejszej niż kwestia odpowiedzialności generała Jaruzelskiego. To pytanie o status tamtego terroru. O jego wyjątkowość, całkowitą osobność na przestrzeni polskiej historii. Przy całej złożoności tamtej sytuacji – nawet jeśli ciągnące się aż na Kreml nici oplatały wciąż dłonie towarzysza generała, to już na pewno nie na tyle, że nie dało się przynajmniej w części z nich uwolnić. Może i ograniczały zakres ruchów, ale na pewno już nimi w stu procentach nie kierowały. A to oznacza, że Jaruzelski jest polskim Robespierrem. Tym, który - w imię przetrwania zdobył rewolucji i w sytuacji militarnego zagrożenia ze strony sąsiednich państw - wydał wojnę własnemu narodowi. Może nawet przeszło mu to skojarzenie przez myśl układając nazwę Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, dziwnie kojarzącą się z kontrolowanym przez jakobinów Komitetem Ocalenia Publicznego.

## Terror i Eucharystia

Jeżeli coś jednak z tamtego okresu pamiętamy jako rewolucję, to karnawał Solidarności, a Jaruzelski prędzej niż z „Nieprzekupnym” skojarzyłyby się pewnie z ostatnim naczelnikiem Bastylii. Stan wojenny oznacza dla Polaków – i to dość solidarnie, ponad politycznymi podziałami – krwawą reakcję. Spór toczy się jedynie wokół tego, czy była ona konieczna i osiągnęła adekwatną skalę. W tym sensie 13 grudnia jest jedną z kluczowych dat polskiej historii. Wyraźnym stemplem pod aktem naszej dziejowej odrębności. Wydarzeniem, bez którego rewolucja Solidarności byłaby niepełna, niespuentowana. Czy coś może bardziej potwierdzić pokojowy charakter przewrotu niż krwawa na niego odpowiedź?

Bo przecież ilość ofiar, jakie pochłonęła rewolucja nie przeszkadza od przeszło dwóch stuleci – z krótkimi przerwami – odwoływać się nad Sekwaną do jej dziedzictwa. Stoi za tym coś wcześniejszego niż polityka, głębszego od idei – odruch, odczucie niemal fizyczne. Rewolucja stała się dla Francuzów – a za ich przykładem dla głównego nurtu jakim płynie europejska wyobraźnia – synonimem wyzwolenia. Zrzucenia kajdan, wciągnięcia głębokiego haustu powietrza po wypluciu na brzeg historii przez absolutystycznego Lewiatana. Rewolucja to emancypacja, odzyskanie przez naród i tworzące go jednostki swojego losu, wyrwanie tego co jest ich własne z łap skostniałego i nieludzkiego „zewnątrza”. Z jednej strony jest zastany system, ład społeczny i gospodarczy, z drugiej – ludzie z krwi i kości, mających swoje marzenia i potrzeby, których dotychczasowy porządek w żaden sposób nie uwzględnia ani się nimi nie interesuje. A pomiędzy

nimi płynie rzeka krwi. Za szeroka, by dało się ją przeskoczyć. Ale zanurzenie się w niej nie jest przecież aż tak wielką ceną, za to, co czeka na drugim brzegu.

Tam, gdzie w Paryżu ustawiona była gilotyna, w gdańskiej stoczni znajdował się ołtarz. Pośrodku tłumu, w miejscu, na które skierowane były wszystkie spojrzenia. Tam, gdzie regularnie przelewała się krew. Gdzie wydarzała się – każdego dnia, skrupulatnie i cierpliwie - rewolucja. To nie sposób jej przeprowadzania się liczy, tylko efekt. A czy nie ten właśnie, rewolucyjny i emancypacyjny, miał Sierpień '80 roku? O czym innym, jak nie o tym właśnie opowiadają frazy, wygłoszone w ramach – jakżeby inaczej – mszalnej homilii Józefa Tischnera, takie jak „jesteśmy znowu tacy, jacy jesteśmy”, „wyjście z kryjówek”, „opadnięcie masek z twarzy”.

*Polacy nie potrzebują  
rewolucji, bo mają „coś  
mocniejszego” – Eucharystię. I  
mieli Ją od zawsze,  
wmontowaną w sam środek  
politycznego systemu i  
wyobraźni*

W książce „Tortura i Eucharystia. Teologia, polityka i Ciało Chrystusa” William Cavanaugh opisuje rolę, jaką msza pełniła w Chile za czasów dyktatury Pinocheta. W słowach, które

wydają się pasować, do wydarzeń mających równocześnie miejsce w Polsce: „W Eucharystii Kościół ożywia wywrotową pamięć o minionej konfrontacji Chrystusa z władzą światową i triumfie nad nią. Jednocześnie Eucharystia zapowiada przyszłe urzeczywistnienie się nowego społeczeństwa, Królestwa Bożego, które rozbija zatwardziałe

pomniki możliwych”. Ale msza to nie tylko przypomnienie wydarzeń z przeszłości ani wizja tego, co dopiero się wydarzy. To przede wszystkim fakt sam w sobie; jej naturą jest zdarzenie jako takie, pamięć i nadzieja, jakie wywołuje to tylko skutek Ofiary, która stanowi jej istotę. Bezkrwawej, choć w mszalnym kielichu pojawia się przecież krew.

Najkrótszym opisem rewolucji byłoby stwierdzenie, że próbuje ona podszyć się pod mszę. A może raczej, że wybucha wtedy, gdy pamięć o tym, co dzieje się podczas liturgii zanika. Rewolucja jest powrotem, regresem do czasów archaicznych, epoki sprzed Kalwarii. Obsługujący gilotynę kaci bardziej niż kogokolwiek innego przypominają azteckich kapłanów, próbujących wyblagać przychylność Quetzalcoatl. Podnosili oddzielone od korpusu głowy nie po to, by zobaczyć mózg je rozentuzjasmowany tłum, ale któreś z bóstw, ku czci których odprawiali ten rytuał – Ludzkość, Braterstwo, Wolność – którekolwiek. Mieli w oczach to samo pytanie, odwieczną wątpliwość kapłana każdej religii: Czy już? Wystarczy? Możemy wreszcie przestać? Żadnemu z bóstw nie zdarzyło się kiedykolwiek odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. Nieważne jak wyglądają ich świątynie, różnić się mogą ustalone przez nich prawa, ale żaden bóg nigdy nie jest syty krwi. Również ten jedyny z nich wszystkich prawdziwy. Tyle tylko, że akurat On żąda, żeby przelewać Jego własną krew. W ofierze składać Jego Ciało. Codziennie, aż do skończenia świata. Rewolucje nigdy nie uznają samych siebie za spełnione i skończone dokładnie z tego samego powodu, z którego w kościołach nigdy nie przestanie być odprawiana msza.

Polacy nie potrzebują rewolucji, bo mają „coś mocniejszego” – Eucharystię. I mieli od zawsze, wmontowaną w sam środek politycznego systemu i wyobraźni. Świadectwem najmocniej

stapającego po ziemi realizmu I Rzeczypospolitej jest przecież zapis kazań ks. Piotra Skargi. I to kazań nie byle jakich, bo wygłaszanych podczas liturgii otwierającej posiedzenie Sejmu. W czasie, gdy Francuzi zaczęli się już powoli wciągnąć w rewolucyjnych konwulsjach, Polacy po uchwaleniu Konstytucji 3-go maja szli wysłuchać mszy i odśpiewywali uroczyste „Chwała na wysokości”. Bo jeśli mieliśmy wówczas jakichś radykałów, to byli oni – taki psikus – jak Hugo Kołłątaj, katolickimi księżmi.

### **Narodowe rytuały przejścia**

I właśnie ta nasza bezkrwawość stale niepokoi i drażni. I to ludzi tak bardzo od siebie różnych, jak choćby Andrzej Leder i Jarosław Marek Rymkiewicz. Ich recepta na osiągnięcie przez Polaków dziejowej dojrzałości jest w istocie bardzo podobna – nawet jeśli nie zanurzyliście rąk we krwi, to chociaż POMYŚLCIE, że tak było. Wyobraźcie sobie siebie jako katów i morderców, a może wreszcie staniecie się normalnym narodem, takim jak inne. Przespaliście czas „narodowych rytuałów przejścia”, rewolucji i królobójstw? Trudno, źle się stało, ale niech już będzie. Zaczniacie jednak o sobie myśleć, jak o ludziach zdolnych do strasznych rzeczy. Bo przecież wielkość może być tylko straszna, czyż nie? Nie ma innego sposobu osiągnięcia dojrzałości niż wykazanie się okrucieństwem. Nowoczesność wydaje się im obu czymś na kształt mafii – nie ma do niej wstępu ten, kto nie przejdzie „próby krwi”.

Narzekają w podobnym tonie: Nawet zdrajców nie potrafiliście powiesić, stać was było tylko na wykonanie egzekucji na płótnach. Albo: wielki skok w modernizację, rewolucję 1939-1956 przeprowadzić

*Ta nasza bezkrwawość stale  
niepokoi i drażni. I to ludzi  
tak bardzo od siebie różnych,  
jak choćby Andrzej Leder i  
Jarosław Marek Rymkiewicz*

musieli za was inni.  
To chociaż zdajcie  
sobie sprawę, że  
czerpaliście z tego  
faktu sadystyczną  
rozkosz. Albo że na  
tym skorzystaliście.  
Jeśli mieliście za  
małe *cojones* na

samodzielne dokonanie włamu do skarbcza, w którym ukryta jest  
dziejowa dojrzałość, to przyznajcie się chociaż, że staliście wtedy na  
czatach, albo czekaliście w aucie.

O tym, jak silna jest ta nowoczesna mistyka krwi, świadczy fakt, że  
ulegli jej w równym stopniu tak emblematyczni dla przeciwnych stron  
politycznego sporu autorzy jak Rymkiewicz i Leder. A jednocześnie ich  
książki to bardziej forma narodowej autoterapii, obracają się w sferze  
wyobraźni i psychiki. Realne jest gdzie indziej. Na ołtarzu. Tam, gdzie  
odbywa się prawdziwa rewolucja.

Za sprawą stanu wojennego terror, stosowana przez państwo wobec  
obywateli przemoc już na dobre kojarzyć nam się będzie z tym, co jest  
jej dokładnym przeciwieństwem – recydywą sił reakcji.

*Jan Maciejewski*

---

**Jan Maciejewski** – (ur. 1990 r. w Mysłowicach) były redaktor naczelny kwartalnika „Pressje”, obecnie stały felietonista i współpracownik dziennika „Rzeczpospolita” i magazynu weekendowego „Plus Minus”.



Finansowano przez Narodowy Instytut  
Wieloobszarowy - Centrum Rozwoju  
Społeczności Obywatelskiej  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2020

